TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 28. *Chicago, Ills., 7 Stycznia, 1886 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 — 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Dokończenie)

Był przepis taki w regulaminie, że gdy komendant oficera subalterna pod areszt wziął, to o tem znowuż swojej starszyźnie najdalej w dwadzieścia cztery godzin miał raportować. Nie tyle przez wzgląd na p. kasztelanica, bom już nie dbał o jego zemstę, ale przez wzgląd na pana generała Korytowskiego, któremum nie chciał kłopotu i przykrych kolizyj czynić — udałem się zaraz z placu lustracyi do pana generała, aby mu zameldować, co się stało. Tymczasem właśnie nie było p. generała we Lwowie, jako iż o te czasy bardzo często wyjeżdżał, komendę na mnie zdawszy. Tem gorzej to było dla pana kasztelanica, bo kto wie, czy p. Korytowski, respektując tak możne paniątko, nie byłby kazał od razu uwolnić aresztanta.

Co do mnie byłem już zdeterminowany, i czując się w żołnierskiem prawie, nie byłbym ustąpił, choćby mnie w sztuki pocięto. Znajomi moi, o wypadku całym usłyszawszy, nuż mi perswadować poczną, abym licho zażegnał, kasztelanica wypuścił i własną skórę salwował, „bo

— tak mi prawią — ty nie wiesz bracie, jakiegoś ty wołu za rogi chwycił, a jakie sobie warzysz piwko. To pan jest, syn magnata, co całem województwem trzęsie; ani się opatrzysz a zje ciebie z guzikami razem; na mizerny koniec tobie będzie."

Jam wiedział o tem bardzo dobrze, z kim zarwałem i co mnie czeka, ale byłbym miał siebie za babę a nie za oficera, gdybym się był ustraszył takowych przestróg. Jużem się był na to zrezolwował komendę, rangę, szwadron, zasługi utracić, pod krygsrecht pójść, łeb dać pod szable dworskiej hałastry, a swoje zrobić.

— Nie boję się — mówiłem tym, co mnie przestrzegali — zginę, to zginę, ale pokażę, jak się komenda trzyma. Nie zjedzą mnie tak prędko, mam twarde kości i szpadę, nie będzie im tak krucho pod ząbkami. Obaczym jak kostka padnie; będzie, co Bóg da, a ja przecie nie ustąpię.

Ludzie co mi życzliwi byli, ramionami wzruszali, litując się mnie i za zgubionego mając — ale ja, raz się uparłszy na swojem, serca i kontenansu nie straciłem. Poszedłem na odwach i kazałem więźniowi przynieść takie jadło, jakiegoby pożądał, i wygody mu dać wszelkie, jeno nikogo doń nie wpuszczać pod żadnym pretekstem. Zawejda, który zawsze musiał z konceptem jakimś wyruszyć, kazał był szablę kasztelanica przed odwachem na kołku przybić i na niej kajdany zawiesić, jak się to nieraz według zwyczaju wojskowego praktykowało — tom mu ostro skarcił i szablę zaraz schować kazał. Potem, aby panom Towarzyszom i kawaleryi narodowej pokazać, że się ich nie boję, po mieście sam jeden długo się przechadzałem, a choć ich dużo spotykałem po drodze, nikt się mnie insultować nie ważył. Zmiarkowałem atoli, że coś się knuje, bo panowie Towarzysze i komputowcy kupkami się przewijali, wyraźnie na wąs sobie jakowąś imprezę motając.

Gdy się już miało ku wieczorowi poszedłem raz jeszcze na odwach, aby co do mego aresztanta wydać niektóre rozkazy, a kiedym w oficerskim pokoju z Zawejdą, bo on miał straż dnia tego, rozmawiał, słyszymy nagle krzyk szyldwachu, wołającego do broni. Wybiegłem z wachcymru razem z żołnierzami i patrzę, a tu kupa cała zbrojna na odwach sadzi, z kilku Towarzyszami na czele. Zebrało się ich ze dwustu; po części pocztowych pancernych, po części komputowców, a po części znowu uboższej szlachty, snać adherentów p. kasztelanica Ostrowieckiego. Sadzili się przez rynek hucznie, z flintami i szablami, a Towarzysz Sobolewski był ich komendantem. Okrutny krzyk i tumult czyniąc, zwabili mnogo pospólstwa — i tak to wszystko czarnem mrowiem parło na odwach.

Miałem wszystkiego dwudziestu dragonów na odwachu, a bić larum nie było już czasu. Owoż przyszła pora, rozprawić się na ostro z tą kupą gwałtowników. Dragoni moi szybko stanęli pod bronią, a ja od Zawejdy wziąłem sam komendę. Kazałem mieć w pogotowiu ostro nabite karabiny — a sam wystąpiwszy naprzód, kazałem onej kupie stanąć pod groźbą, że natychmiast strzelać każę. Wtrzymali się ekscesanci, a Towarzysz, co ich wiódł, wystąpił ku mnie i zawołał:

— Przychodzimy tu do Waćpana, abyś nam zaraz chorążego wydać kazał, wolno i przy szabli go puszczając. Wzywamy o to Waćpana bez gwałtu, a jak same słowa nie pomogą, to was tu wszystkich pludraków wyrąbiem!

Wszczął się tedy wrzask okrutny między oną kupą:

— Posiekać dragonów, posiekać! hajże hura! na tych niemieckich szłapaków! Wiwat p. chorąży! Wiwat pan kasztelanic! Puścić go, zaraz puścić!

Dałem im znak, że chcę mówić, a gdy się trochę wrzawa ułożyła, zawołałem:

— Mościpanowie! pan chorąży tu zostanie, póki jeden dragon żyw będzie, a choćbyście nas wszystkich do nogi wyrąbali, to jemu nie pomożecie, albowiem macie wiedzieć, żem przy nim dwóch dragonów postawił z rozkazem, aby go zaraz rozstrzelali, skoro na odwach wtargniecie! Ale nim to nastąpi, nie jeden z was głowę tu zgubi. Wzywam, ustąpcie, albo strzelać każę!

Znowu krzyk straszliwy wzniósł się z tej kupy, a ja po cichu dałem dragonom moim rozkaz, aby pierwszy raz na wiatr strzelili, bom krwi nierozważnie rozlewać nie chciał.

— Roznieść ich! wyrąbać! — poczęli wołać gwałtownicy i nuż ruszą naprzód szablami wywijając.

— Cel! pal! — zawołałem, i w tej chwili dragoni moi dali salwę.

Rozległ się huk, kule świsnęły po nad głowami ekscessantów, a w tejże chwili cała kupa rozsypała się w wielkim strachu, uciekając co-

prędzej na wszystkie strony. Tak się to rycerstwo na sam dym rozbiegło w popłochu, że ledwie ze czterdziestu płacu dotrzymało, a i tych panowie Towarzysze z ciężką biedą od rejterady wstrzymali, dodając im serca i animuszu. Nim się jednak jeszcze dym rozszedł od strzału, już dragoni moi wypadli do ataku z bagnetami, a z takim szparkim impetem, że owi śmiałkowie co jeszcze nie uciekli, ani chwili nie dostali, salwując się coprędzej do kamienic. Poszturchali niektórych dobrze dragoni a trzech dopadli i zaraz w areszt wzięli.

Tak się zakończył ów ekscess w sromotny sposób dla niesfornych gwałtowników, a dla mnie z niemałą satysfakcyą, bom się tem ucieszył, że się bez rozlania krwi obeszło, a na kilku suchych guzach skończyło. Dla ostrożności jednak podwoiłem wartę, aby nowej jakiej napaści czoło stawić, i sam już całą noc na odwachu przepędziłem. Odechciało im się przecie próbować szczęścia po raz drugi i iść w odsiecz panu kasztelanicowi, a noc przeszła spokojnie.

Nazajutrz około południa powrócił do Lwowa pan generał Korytowski, a ja, skoro tylko się o tem dowiedziałem, zaraz do niego pobiegłem z raportem. Zastałem p. Korytowskiego jeszcze w stroju podróżnym i niewiedzącego o niczem co się stało. Zameldowałem mu w krótkich słowach całe zajście i zażądałem dalszych rozkazów w sprawie delikwenta.

Wysłuchawszy raport mój, p. generał widocznie się skonsternował i w niemałym był kłopocie. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem, jakby się chciał dobrze przyglądnąć takiemu śmiałkowi, co paniątko do kordegardy wsadza a regulamenta o subordynacyi na seryo bierze, a potem zawołał:

— A wiesz Waćpan, że to brzydka historya, Mości rotmisztrzu!

— Dla pana kasztelanica zapewne — odpowiedziałem sucho — bo ja *stricte* tylko animadwersyą artykułów wojskowych się kierowałem, i spokojnem sumieniem o krygsrecht proszę.

— Ale nie! ale nie! źle mnie Waćpan rozumiesz, panie rotmistrzu! — zawołał p. generał — mam już teraz, bez żadnego krygsrechtu, konwikcyę zupełną, żeś Waćpan uczynił, co należało. Znam ja nasze paniątka, a już najbardziej tego kasztelanica — ale Mości rotmistrzu, czy tobie dopiero mówić potrzeba, jak to u nas w Polsce bywa?

— Jam żołnierz, Mości generale — rzekę na to — a artykuły wojskowe to dla mnie wzgląd jedyny. Ja nie potrzebuję pamiętać na to, jak u nas w Polsce bywa, ale na to, jak być powinno.

— Już ja to wiem doskonale — mówi na to pan generał — żeś ty z sumieniem żołnierskiem sobie począł w tym niefortunnym wypadku, i o to ja się certować z tobą, panie kapitanie, ani myślę. Ale czy Waćpan nie wiesz, żeś w Polsce, ale czy Waćpan nie wiesz. że ojciec i krewni p. kasztelanica to możni panowie, co podniosą *clamor* taki okrutny, że aż królowi samemu w uszach dzwonić będzie? Czy Waćpan, panie kapitanie, myślisz że to w pruskiem wojsku, w którem oba służyliśmy, a gdzie rajchsgrafów i baronów pakowano do sztokauzu, jak u nas prostych dragonów? A to Waćpan chyba nie zważyłeś, jakie siarczyste pioruny na głowę sobie ściągasz!

— Wiem, wszystko wiem, i nim pana kasztelanica do aresztu wziąłem, o wszystkiem wiedziałem.

— I nie lękasz się Waćpan zemsty? Ha, wiesz co waćpan? to mi się podoba, choć mi żal tak zacnego, jak ty, oficera. Mówmy już otwarcie teraz, jak przyjaciele, czy wiesz Waćpan, że sam król Jegomość takich Ostrowieckich u nas się boi?

— Wiem, mości generale, ale i to wiem, że król Jegomość nie potrzebowałby pewnie bać się ich ani na chwilę, gdyby się ich nie bali wszyscy tacy mizerni Narwoje, jak ja.

— Gdyby, gdyby, gdyby!.. — zawołał pan generał — a tak co zrobisz? głową muru nie przebijesz! Już ja wiem, że w Waćpanu charakter dzielny a prawdziwie żołnierski! Szkoda ciebie, panie rotmistrzu; ale cóż na to robić, *nec Hercules* przeciw sile...

Milczałem na te słowa, a p. generał chodził zamyślony po pokoju.

— Cóż myślisz panie rotmistrzu? — zapytał mnie nagle — Co chcesz, abym zrobił?

— Ja proszę o surowy krygsrecht najpierw dla p. chorążego, a jeźli się i po mnie coś pokaże, i na mnie samego.

— Panie rotmistrzu, zreflektujże to Waćpan, czy nie lepiejby udusić to wszystko, póki się jeszcze dymi, bo jak płomieniem buchnie, to już wszystko przepadło... Widzisz, panie Narwoj, jedno dobre słówko możeby tu pomogło,,,

— Mości generale — odpowiem mu na to — jeśli to dobre słówko ma wyjść odemnie, to przysięgam na mój honor szlachecki i oficerski, że p. kasztelanic daremnie go czekać będzie!

— Ależ ja nie wyciągam tego, abyś go Waćpan przepraszał — mówi p. generał. — Ale wiesz co... ot, mówiąc krótko... skręćmy temu łeb i kwita...

— To odemnie nie zależy, Mości generale, ja uczyniłem swoje, a kontynuacya, to rzecz p. generała.

P. Korytowski począł znowu chodzić po pokoju w zamyśleniu a po dobrej chwili z wesołą twarzą się ku mnie zwrócił, jakby na koncept wpadł szczęśliwy.

— Panie Narwoj, a jak ja tak zrobię, że wilk będzie syty i koza cała?

— Wtedy, mości generale, wilk się temu oponować nie będzie. Ale ja nie wiem jakiemiby sposoby w to ugodzić.

— Udam się do jednej instancyi, o której Waćpan zapomniałeś. Zgadnijże, gdzie?

— Nie zgadnę.

— Do bab, do bab, Mości kapitanie.

— Jeśli tam, to p. kasztelanic pewno wygra sprawę, a kondemnata spadnie na mnie.

— Już się Waćpan o to nie frasuj, jak będzie; dobrze będzie. Twemu honorowi i subordynacyi wojskowej stało się zadość, bo p. kasztelanic zapomni o wszystkiem; znam ja rączkę taką, co go ugłaska.

— Panu generałowi wolno robić, jak wola jego; ale ja z swej strony kroku żadnego nie uczynię, choćby ta bomba pęknąć mi miała pod samym nosem.

— Bądźże już Waćpan spokojny, moja w tem głowa. A teraz mówmy, jak o służbowym interesie mówić należy. Mości kapitanie, wezmę raport Waćpana o występku chorążego Ostrowieckiego pod uwagę i według artykułów wojskowych affera ta prowadzoną będzie. Zostawiam aresztanta w rękach Waćpana, i masz go zachować tak długo na hauptwachu, póki osobnego ordynansu odemnie nie otrzymasz.

Po tych słowach p. generała wyszedłem, a choć po prawdzie mówiąc, smuciło mnie trochę, że i sam pan Korytowski uląkł się mojego postępku, jakoby on był jakąś zuchwałą imprezą, a nie aktem żołnierskiej subordynacyi, przecież i jam był kontent, że nie potrzebując od swojej racyi odstąpić, z głowy kłopotu pozbyłem. W kilka godzin po mojej rozmowie z p. generałem, przyszedł do mnie laufer od pani kasztelanowej Szeptyckiej, damy wielce czcigodnej a nad wszelki zwyczaj niewieści uczonej, z kartą własnoręcznie przez tę panią pisaną, abym dziś wieczór gościem był w jej domu. Zdziwiło mnie takowe zaproszenie, bom się nie honorował znajomością osobistą tej dostojnej a sławnej damy, a jako oficer chudego stanu częścią z własnej ambicyi szlacheckiej, częścią z braku okazyi ku temu, żadnych wysokich relacyj nie szukałem. Zaraz mi też na myśl wpadło, czy w tem nie siedzi p. Korytowski, i czy to nie planta w tem takowa, aby mnie do koncyliacyi z p. kasztelanicem przywieść.

Byłem trochę markotny z tej racyi, bojąc się tego nie pomału, abym przy tej okazyi nie był oprymowany, a do zgody ciągniony, ze szwankiem może mojej powagi jako starszego oficera i komendanta. Czy tak, czy tak, nie było na to rady, a rekuzować się takowym delikatnym zaprosinom i to od damy pochodzącym, ani oficerską ani kawalerską nie było rzeczą. Tak tedy *volens nolens* począłem się zaraz zbierać, bo już ku wieczorowi się miało, gdy nagle przychodzi do mnie wachmajster z hauptwachu od Zawejdy z jakimś papierem. Czytam, i widzę ordynans p. generała Korytowskiego, nakazujący, aby komendant hauptwachu aresztanta JP. chorążego Ostrowieckiego, pod ostrą i surową eskortą, oczy mu wprzód zawiązawszy, do tej a do tej kamienicy, która w ordynansie oznaczoną była, o godzinie 8 wieczór odstawił. Przeczytawszy ten ordynans dziwny, sensu jego nie mogłem dociec; rzekłem tedy wachmajstrowi, ordynans mu oddając, aby powiedział Zawejdzie, iż ma tak *strictissime* czynić, jak mu generał w tym papierze nakazuje.

Nie poprzestając na tem, kiedy już szedłem do pani kasztelanowej, sam jeszcze na hauptwach do Zawejdy wstąpiłem, mówiąc mu, jako ja całą afferę jak przystoi p. generałowi odraportowawszy, nic już o aresztancie dysponować nie mam, i jako mu tylko to surowo zalecam, aby z rozkazu dobrze się sprawił, a literę ordynansu w ostrą biorąc animadwersyę, aresztantowi uciec lub go jakowej swawolnej kupie wziąść sobie pod honorem oficerskim nie pozwolił. Po takiem napomnieniu poszedłem na ów wieczór do pani Szeptyckiej.

Owoż posłuchajcie teraz, jak się ta intryga

zawiła wyklarowała. Zawejda, skoro ósma godzina nadchodziła, wszedł z czterema dragonami do kałauzu, w którym siedział p. kasztelanic, i srogą minę zrobiwszy, wąsy okrutnie kręcąc, a oczami straszliwie przegrażając, jak to zwykł bywał robić, jak sam powiadał, „dla solenności i rygoru” w każdej służbowej okazyi — zawołał na p. kasztelanica:

— Gotuj się Waćpan *stante pede*!

P. kasztelanic, który dobę już drugą w kordegardzie przesiedziawszy, trochę się umitygował i skruszał, pyta Zawejdy, dokąd ma się gotować? Zawejda na to jeszcze srożej marsa nastroiwszy, przeraźliwem go spojrzeniem od stóp do głowy zmierzył, a zamiast odpowiedzieć, rozkazał dragonom, aby z karabinów stare ładunki wykręcili. Gdy się to stało, Zawejda straszliwym głosem komenderować począł, aby nabili świeżo i ostro. Następnie tak się ozwał:

— Dragon, daj posłuch! Pod moją komendą tego oto delinkwenta poprowadzicie tam, gdzie ukażę, a to pod takim rygorem: że gdyby delinkwent ten, którego tu widzicie, po drodze najmniejszy znak dał, że uciekać myśli, zaraz mu w łeb palniesz każdy. Co gdy nie uczynisz, każdy bez pardonu rozstrzelany będziesz! Dragon każdy, czy rozumiał?

— Rozumiał — odrzekli żołnierze.

Wtedy Zawejda zwrócił się do kasztelanica i zapytał głosem trybunalskim:

— Widziałeś Waćpan?

— Widziałem.

— Słyszałeś Waćpan?

— Słyszałem.

— Gotujże się Waćpan do marszu.

Po tych słowach Zawejda okrutnie dużą chustę wydobył i nietylko oczy, ale całą głowę kasztelanica obwinął, mało go nie udusiwszy.

— Co Waćpan czynisz ze mną? — mówi p. kasztelanic.

— Co mi rozkazano — odpowiada Zawejda.

— Dokąd mnie wiedziecie?

— Gdzie rozkazano.

— Ależ na Boga, panie oficerze, — woła kasztelanic — czy mnie mizernie zgładzić chcecie z tego świata? Tożem ja nie zbrodzień żaden, a jak mi gwałt jaki uczynicie, sroga w was pomsta pewno ugodzi za to; o tem pamiętajcie! Ja się tu protestuję przeciw temu, baczcież, abyście nie żałowali!

— Rozkazuję Waćpanu milczeć pod całą srogością mojej plenipotencyi, bo mam ostre względem Waćpana rozkazy — ozwał się Zawejda. — Będziemy żałować, jak na nas kolej przyjdzie, ale teraz kolej na Waćpana do tego przyszła — i radzę Waćpanu po katolicku, raczej o mizernych grzechach żywota pomyśleć, aniżeli się nam przegrażać!

Porwał się z miejsca kasztelanic ze zgrozą i zawołał:

— Człowieku, alboż ty mnie na śmierć wiedziesz?

— Zakazuję Waćpanu pod całą srogością mojej plenipotencyi, nazywać mnie człowiekiem! — odpowiedział Zawejda. — Zresztą, albo ja wiem, dokąd cię wiodę? Za takowy występek, jakiegoś się Waćpan dopuścił z szablą na komendanta, zuchwale się rzuciwszy, w artykułach wojskowych śmierć stoi.

— Ja chcę krygsrechtu na to! — woła pan kasztelanic.

— To go Waćpan mieć będziesz. A teraz znowu rozkazuję Waćpanu milczeć pod największą srogością mojej plenipotencyi.

Rzekłszy to Zawejda kazał dwom dragonom wziąść kasztelanica za ręce, aby sobie z oczu przewiązki nie mógł zsunąć i tak go z hauptwachu wyprowadził.

Podczas gdy się to działo, ja już byłem u pani kasztelanowej Szeptyckiej. Uczciwie i z delikatną grzecznością przyjęła mnie ta szlachetna dama, a zastałem u niej całe grono gości, nie wielkie, ale bardzo dystyngowane. Był tam i pan generał Korytowski, który ujrzawszy mnie, żartownie się do mnie uśmiechnął, nic o aresztancie moim nie mówiąc. Dam było także kilka, a między niemi była panna jedna, dziwnie nadobnej urody a wdzięczności takiej, że tylko na malowanie brać a oko słodkim aspektem kontentować.

Mówi do mnie pan generał:

— Patrzże Waćpan, Mości rotmistrzu, to jest panna starościanka Sołotwińska, czy nie prawda, że jest od czego głowie się kręcić. Owo widzisz Waćpan, że lepiej być komendantem tego serduszka, niźli wszystkie komendy i twierdzy w całej Rzeczypospolitej trzymać; a zgadnij kto tam w tej główce stoi garnizonem? Nikt inny, panie Narwoj, jeno p. kasztelanic Ostrowiecki! Gdyby panna starościanka wiedziała, żeś Waćpan wilk taki i że p. kasztelanica

pod muszkietami trzymasz, toby tu na cię pospolite ruszenie wszystkich białogłów sprawiła, i ano nie wiem, jakby ci tam było.

— Retyrowałbym, panie generale — rzekę ze śmiechem — lub kapitulował się na łaskę lub niełaskę. Ale ja nie wiem, czemu p. kasztelanic tej owo słodkiej służby się nie trzyma, a do nas żołnierskich niedźwiedzi się miesza?

— Gdyby panna starościanka pozawczoraj już tu była, byłbyś kasztelanica na owej nieszczęsnej lustracyi pewnie nie widział i bez awantury by się obyło. Ale dziś dopiero tu przyjechała, a biedny Ostrowiecki nic o tem nie wie!

Kiedy tak rozmawiawszy, słyszymy naraz ciężkie kroki i brzęk ostróg na wschodach. Wybiegł zaraz pan generał z pokoju, a po chwili wrócił — i owo wyobraźcie sobie zdziwienie moje, kiedy za nim wszedł do pokoju p. kasztelanic z oczyma zawiązanemi, ale już nie przez żołnierzy, jeno przez dwóch pokojowców pani kasztelanowej prowadzony. Na widok kasztelanica zrobiło się cicho w pokoju, jakby mak siał, bo p. Korytowski palec do ust przyłożył o *silentium* prosząc. Damy chusteczki do ust przykładały, śmiech w sobie tłumiąc, a panna starościanka, która kasztelanica snać poznała zaraz, zarumieniła się aż po uszka.

Tak chwilę stał p. kasztelanic na samym środku pokoju, a ja chcąc uniknąć jakowej kolizyi, do ubocznego pokoju się cofnąłem, ztamtąd obserwując przez drzwi otwarte, co się działo. Owoż pan generał wytrzymawszy kilka chwil kasztelanica, zmienił głos, co wybornie czynić umiał, i srogim a wielkim tonem, jak gdyby przed frontem całego regimentu komenderował, zawołał:

— Do krygsrechtu, baczność! Do publikacyi wyroku, prezentuj broń! Aresztant — postąp! Stepka rozwiąż mu oczy!

Na te słowa jeden z gości z tyłu szybko zdjął chustkę z oczu p. kasztelanica...

P. kasztelanic przetarł oczy z zdumienia i aż się cofnął — gdy zamiast srogiego krygsrechtu i żołnierzy, ujrzał się w pośród wesołych gości i dam eleganckich.... Snać nie wierzył sam sobie, bo stał nieruchomo i z zdumionym wzrokiem, jakby z snu się obudził.

— Cha, cha, cha! — poczną się teraz śmiać wszyscy — cha, cha! Witamy, witamy, panie kasztelanicu!

— Witamy, witamy! i ktoś jeszcze wita! — zawołał p. generał, biorąc kasztelanica i wiodąc go wprost przed pannę starościankę.

I znowu poczęto śmiać się, a żartować, a przekomarzać się z zdziwionym i uradowanym kasztelanicem, który jakby języka zapomniał w gębie. Ja tymczasem byłem w drugim pokoju, i wyjść nie chciałem, bardzo temu nie rad będąc, że mnie w takową intrygę wciągnięto. Kiedy tak siedzę, i już mi się zdaje, że o mnie całkiem zapomniano, wchodzi nagle do drugiego pokoju p. generał Korytowski i prowadzi z sobą kasztelnica. Czekam, co to będzie, a tu p. kasztalanic idzie wprost ku mnie i mówi:

— Mości rotmistrzu, niechaj to już idzie w niepamięć, co między nami zaszło. Ja czynię desprekacyę, wybacz Waćpan gorączce mojej.

Takiemi słowy wziął mnie kasztelanic od razu; nie umknąłem mu też ręki, ale ściskając podaną dłoń rzekłem:

— Niech i tak będzie, panie chorąży; skoro p. generał tego chce a Waćpan swego impetu żałujesz. Jam nie zawzięty, a com uczynił, pewnie z przykrością mi to było.

W dobrej tedy komitywie wróciliśmy do gości i wieczór cały w przystojnej wesołości spędzili. Na wychodem już mówi do mnie p. Korytowski:

— A co, Mości panie rotmistrzu nie udała mi się gładko polityka?

— Jestem ja z respektem i admiracyą dla dowcipu p. generała — rzekę na to — ale cóż, chociaż p. generał tym sposobem salwował mnie od przykrości, to przecie wdzięczność moja nie szczerą by była. Tak ja się już rogato w tej aferze usadziłem, że wolałbym, aby to wszystko było pękło choćby mnie na głowę.

— Panie Narwoj — odpowiedział na to pan generał — com zrobił, to nie dla ciebie, a dla siebie samego, boś z srogiemi brytany grać począł, a kto wie, czyby cię były nie wygryzły ze szarży. A wtedy cobym ja bez Waćpana we Lwowie począł? Toż Waćpan wiesz, jakie niespokojności się pokazują; co wiedzieć? czy lada dzień nie zechcą nas tu ze Lwown wykurzyć jak lisów; a ja chciałbym królowi miasto trzymać. Bez ciebie zaś, panie rotmistrzu, to zaprawdę nie wiem, jakby mi tu było?

Na takowy pochlebny komplement musiałem dać wygraną p. generałowi i podziękować tylko za dobrą o mnie opinią. Jakoż p. generał miał racyą, przewidując, że niespokojności owe aż o Lwów się oprą, bo nie długi czas minął, a przeciw swoim bronić go nam przypadło. I w ówcząs to pono najboleśniejsza przyszła na mnie alternatywa, jakiej kiedy za żołnierskiej mej służby doświadczyłem. Kiedyś przy dobrej okazyi a miłej waszej ochocie do słuchania i tę chwilę żywota mego z starej pamięci wygrzebię, *infantum dolorem* wzniawiając. A na teraz chyba dość narracyi mojej.

(Koniec.)

GAWĘDZIARZ.

POSTRONEK.

Sieciech i Wojciech było dwóch braci — w młodości dwaj te chłopaki razem chodzili na rybki, razem na ptaszki i na ślizgawkę biegali razem.

Lecz kiedy byli na rybach i czasem co ułowili, Sieciech jako starszy dzieląc się z bratem wspólną ich pracą, zawsze miał taki zwyczaj, że sobie wybrał, to węgorka, to szczupaczka, sendacza albo świnkę, a Wojciechowi młodszemu bratu, piskorze, płotki, karaski, zostawiał.

Tak się też działo z ptakami, jeśli gniazd nawykręcali, Sieciech zabierał sikory, szczygły i gile, a bratu oddał wróble, śmieciuchy. — Taki brat Sieciech miał zwyczaj, a więc dla tego, jak ich ojcowie pomarli, i cały swój dobytek im zostawili, Sieciech zaproponował, że im nie sposób wspólnie pracować, ale się lepiej podzielić, i podzielił się z Wojciechem, lecz się podzielił według zwyczaju, to jest: najlepsze grunta, łąki, budowle, bydło i trzodę, zabrał dla siebie, a nieużytki, wydmy, mokradła, w pół zwaloną chałupę, ślepego konia, chude krowiny, i parę prosiąt, przeznaczył bratu.

A gdy owi dwaj bracia wkrótce się pożenili, i gospodarki się jęli, niedługo Sieciech tak się dorobił, że został panem Sieciechem, zaś Wojciech, który nie miał czem co radzić, próżno się starał, i w okolicy wszyscy mówili gdy o nim napomnieć przyszło: to ten ubogi Wojciech, brat bogatego pana Sieciecha. — I tak było w istocie, że im pan Sieciech był bogatszym, to brat Wojciech biedniejszym, i w końcu tak Wojciech zbiedniał bardzo, że już bez wsparcia siebie, żony i dzieci, wyżywić nie mógł. Lecz że ubogi Wojciech, co tydzień prawie do pana Sieciecha po wsparcie chodził, jemu zdało się za często; rzekł jednej niedzieli pan Sieciech, do brata swego Wojciecha:

— Widać że nie ma dla ciebie szczęścia na świecie, bo przecież całym dobytkiem tak się z tobą równo podzieliłem, że gdyby miernik pułanki zmierzył, łokciaby więcej, ni mniej nie znalazł, a tyś zubożał, wiesz co? kto nie ma szczęścia, cóż mu po życiu, cóż takie życie, narzekać, płakać, jak ty narzekasz i płaczesz, do śmierci wyciągać rękę i żebrać jałmużny, gdybym to ja był na twojem miejscu, zakpiłbym z takiego życia i losu niechby mnie raz djabli wzięli.

Ubogi Wojciech słuchał, serce mu biło, włosy na głowie powstały, a pan Sieciech po chwili milczenia powiedział:

— Wiesz co, pójdźmy na rynek, kupię ci jedną rzecz, z której wiem, że będziesz kontent.

Poszli na rynek nie mówiąc słowa do siebie, bo pan Sieciech nie miał już co więcej mówić, a Wojciechowi, tak było jakoś, czy nie dobrze, niemiło, czy mu się słabo robiło, że nie mógł ust otworzyć — czuł tylko że jego dusza i na ubóztwo, i rady brata, słowem na wszystko, dosyć spokojna.

Przyszedłszy na rynek, pan Sieciech kazał bratu Wojciechowi, na podsieniu zaczekać, a sam poszedł kilka kroków dalej i do jednego kramu wstąpił — potem wyszedłszy na brata mignął, on za nim poszedł, i wyszli oba za miasto.

Za ogrójcem, za górką, stanął pan Sieciech, obejrzał się do koła, nie było tam nikogo, tylko z ogrójca z za górki, wyglądał z pomiędzy dwóch topoli Krzyż święty.

Gdy go ujrzał pan Sieciech, zapuścił oczy na ziemię, i jakby się wstydził Krzyża, ledwie że je podźwignął, i do brata się ozwał, aby się jeszcze niżej spuścili.

Zszedłszy niżej za górkę stanęli, pan Sieciech znów się obejrzał, nie było tam nikogo, i krzyż w ogrójcu za górką został, tylko wierzch dwóch topoli, co go osłaniał, w przeciwną wiewał stronę.

Tu rzekł pan Sieciech do brata swego Wojciecha:

— Wiesz? kupiłem, zrobiłem to dla ciebie więc idź, tylko nie w moim lasku, pamiętaj, wszak tyle drzewa jest w tym drugim, gdzie ten stary dąb skrzypi, on ma tyle gałęzi i sęków, tam ci będzie wygodnie.

Tak mówiąc pan Sieciech, prędko choć przerywanym głosem wyjął z pod kapoty dobry mocny postronek i oddając go bratu dodał.

— No idź powieś się.

Osłupiały, przelękły, kiedy taką radę brata usłyszał, na wpół obumarły, od nagłej niespodziewanej śmierci, z cicha sobie zawołał, ale mu zęby szczękły i usta się zamknęły — jednakże wyciągniętą ręką podany mu postronek odebrał, a brat pan Sieciech mówił: „no idź, spiesz się, — bądź zdrów, i poszedł sobie do domu."

Wojciech szedł wolnym krokiem do lasu, serce w nim mocniej biło, nogi pod nim drżały — a kiedy pole minął ujrzał się w boru, w części do jego brata należącej, a iż tak osłabł, że już i dalej postąpić nie mógł, zemdlony pod jednem drzewem usiadł i spoczął.

Siedzi spoczywa, myśli, sam nie wie o czem, aż mu przyszła na myśl jego nędza.

— Mój Boże! — mówił w duchu, zamiast przed Tobą, mamże dziś w piekle stanąć, za co? żem biedny, i ja dla biedy mam goreć w piekle, a Ciebie nie widzieć Panie, któryś świat stworzył i mnie na świecie, i któryś powiedzieć kazał, że biednych jest królestwo niebieskie? — nie, odbierać życia, któreś dał Panie... o nie! tego nie zrobię.

I Wojciech słuchając głosu prawego sumienia swego, odrzuciwszy radę brata Sieciecha, z wyjaśnionem czołem, spokojną twarzą, po trudach i po zmartwieniu, otarłszy gorzką łzę, oparł na pniu swoją głowę i zasnął.

Po nad śpiącym Wojciechem przeleciał gołąbek, jako śnieg biały, niosąc w dziobku palmę kwitnącą, i tą palmą kwitnącą uderzył Wojciecha w skronie, uderzył raz, drugi, trzeci i odleciał.

Wojciech otwiera powieki, na piersiach kładzie Krzyż święty, i wstając wesół swobodny, czy też to prawda zawoła — ach taki sen, jak na jawie, tyle pieniędzy. ja tak szczęśliwy, i moja żona i dzieci moje. — Tak mówiąc w duszy, Wojciech ubogi, postronek dar swego brata, u wierzchu gałęzi wiąże, a schwyciwszy go rękami, całym ciężarem swojego ciała drzewo nagina, aż drzewo skrzypi, aż korzeń pęka, skrzypi, trzeszczy, korzeń łamie, i złamane, zgruchotane drzewo na ziemię upada — a z pod korzenia, widać żelazny kocioł.

Wojciech kocioł z ziemi dźwiga, ciężką przykrywę podnosi, patrzy, aż pełny kocioł pieniędzy.

Uklęknął Wojciech, zmówił pacierze, i postanowiwszy święcie, trzecią część znalezionego skarbu oddać dla biednych, pieniądze zabrał i do domu powrócił.

Pan Sieciech, kiedy po udarowaniu brata postronkiem, do swego wrócił domu, taki był niespokojny, tak go coś truło, że sobie miejsca znaleźć nie mógł, — chodził po izbie nierównym krokiem, stawał, w okno zaglądał, po szybie palcami brzęczał, aż to żona spostrzegła i o jego zmartwienie się zapytała.

Człowiek nieszczery, obłudny, co od maleńka wszystko skręcać przywykł, dla najpierwszego, najlepszego przyjaciela, jakim jest żona i być powinna, nawet szczerym być nie może, i pan Sieciech nie powiedział prawdy żonie, powiedział tylko, że jak biegł prędko, jak leciał, jak się potknął tak....... coś go zabolało.

Tkliwa żona o zdrowie swego męża, zakrzątnęła się niebawem — i, nie wyszło dziesięć minut, już ziołeczka, wódeczka, to powidełka, na żądanie gotowe stały — lecz gdy mąż do niczego nie miał gustu, a naglony, cierpki, smutnie odpowiadał, żona znając męża swego, nie

przez żaden cud odgadła, że onego nic nie boli, tylko ma jakieś zmartwienie, i nuż badać i nuż prosić. „Może ci łąkę wypaśli, może bydełko zajęli, zasiewy potratowali, gaik wycięli"

Na wszystko milczał, lub mówił nie, na gaik się wzdrygnął, stanął, w okno spojrzał, palcem po szybie pisał, i nic nie mówił.

Ah! mężu, mężu, — przenikliwa niewiasta rzecze, — możeś zgubił znak lub ślad, gdzie zakopane w lesie pieniądze?

— Pieniądze? — prawda — pobiegnę, przyniosę, albo zobaczę.

I czyniąc zadosyć przeczuciu żony, aby się pozbyć badań kobiety, poszedł, pobiegł, poleciał, zwykłą do lasu dróżyną.

Przy dróżynie w ogrójcu, w pośrodku dwóch topoli, stał Krzyż święty, spojrzał na niego pan Sieciech, oczy na ziemię spuścił, i jakby się wstydził Krzyża, ledwie że je podźwignął, i mimowolnie pomyślił: on wie wszystko.

A iżby czarne myśli, z bolesnego wyzuć serca, podwoił kroku i niebawem stanął w lesie, a było to w owej chwili, kiedy Wojciech brat jego, tylko co pieniądze zabrał i już był w domu.

Sieciech do swego przypada świerku pod którym skarby zakopał, patrzy, wierzch świerku o ziemię wsparty, korzenie powyrywane, pod korzeniami dół dość głęboki, lecz pusty — obok nieco głębiej, nie masz kociołka z pieniędzmi, i nie ma.

Co za okropny żal, co to za rozpacz, ścisnęła Sieciecha serce, ah, nietylko jego serce, jego myśli, duszę jego, przeniknęła boleść sroga, — bo straciwszy ten dobytek, wyrzucało mu sumienie, dobitnemi w duszy słowy: na toś tyle głowy suszył, tyle krętarstw i oszustwa, przez długi się czas dopuszczał, byś za te podłe staranie, już nic, ah nic nie posiadał? — i w tym ogromie zgryzoty, ujrzawszy na gałęzi uwiązany postronek, ten sam, który dla swego brata kupił, na swoją założył szyję, i — powiesił się.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— Dokądże prowadzi to wejście? — zapytał sir William.

— Do izby w sklepach podziemnych. Słyszałem z ust dziada pańskiego, że za czasów Cromwella, ukryto tam nietylko srebra stołowe, ale i dokumenta, tyczące się posiadłości, należących do rodziny Mowbray. Pokazując mi sposób dostania się do tych kryjówek, nie myślał zapewne o tem, że wnuk jego będzie ich znowu potrzebował.

— Czy nie wyjawiłeś nikomu tej tajemnicy?

— Nigdy! sir Williamie, — odrzekł Marcin uroczystym tonem.

Wziąwszy z sobą lampę, na stole stojącą, Marcin udał się wązkim otworem do ciasnego korytarza, a za nim wszedł sir William, niosąc skrzyneczkę. Zszedłszy po wschodach, które coraz rozszerzały się, w miarę jak na dół schodzili, przybyli do izby sklepionej, czyli piwnicy, nie mającej innego wejścia 'prócz tego, przez które się tu dostał. Powietrze w tym zakątku było wilgotnem i stęchłem, a lampa bladem zaledwie płonęła światłem.

Ayah stojąc ciągle przy drzwiach, chociaż ani słowa z rozmowy pochwycić nie zdołała, postrzegła zniknięcie światła i powrót jego po upływie kilku minut. Nie widziała innych drzwi do biblioteki prócz tych, u których czatowała, a ztąd wnioskowała, że musi być jakiś wchód tajemny.

— Marcinie, — rzekł baronet, gdy wrócili na górę i zamknęli blachę komina, — oddałeś rodzinie twego pana usługę wielkiej wagi, jak to zapewnie czas przyszły okaże. Nie znieważę twej wierności, mówiąc ci o wynagrodzeniu; całą nagrodą, jaką ci za to ofiarować zdołam, jest uczucie wdzięczności.

— I to najmilszą jest dla mnie nagrodą, rzeczywiście, — odparł stary sługa, ocierając rękawem łzę, toczącą się po zmarszczonem licu. — Wiedziałem ja dobrze, iż życie moje przyda się jeszcze na coś.

Ayah zaledwie miała czas umknąć cichutko, nim się drzwi biblioteki otwarły, któremi wyszedł Marcin, udając się do swej sypialni po nad stajniami.

XXXIV.

Henryk Ashton miał wiele trudności, nim pogodził swego stryja i jego żonę z myślą swej podróży. Włochy w ich wyobraźni były zarówno odległe jak Indye, i lękali się, że się z nim więcej nie zobaczą. W tej to okoliczności uwiadomił stryjenkę o swej miłości ku Ellenie i o wspaniałomyślności baroneta, usiłując dać staruszce do zrozumienia, że nie mógł inaczej odwdzięczyć się za jego łaskawość, jak udając się w drogę dla odszukania jego utraconego dziecięcia. Nareszcie po obietnicach rychłego powrotu i niezmiennego dla niej przywiązania, wymógł przecież, że przestała opierać się jego wyjazdowi.

Wychodząc z dworku stryjostwa, spotkał się z Joem Beans, który kilku słowy podchwytanemi w czasie rozmowy Henryka z Maciejem Ashton, dowiedział się o blizkiej podróży panicza.

— Czy to prawda, master Harry? — zapytał go poczciwy chłopak tonem wyrzutu.

— O czem chcesz mówić?

— O twym wyjeździe w obce kraje, i ani słowa nie wspomniałeś o tem Joemu! Ale domyślam się, że wyobrażałeś sobie, iż godzina czasu wystarczy mi, abym się przysposobił do drogi. Słówko pożegnania z Zuzanną, i będę już gotów.

Pierwszą myślą Henryka było wziąć z sobą Joego; nawet przyrzekł mu to był dawniej, że go weźmie, gdy miał Anglię opuszczać; ale zbieg okoliczności skłonił go do porzucenia tego zamiaru. Pragnął zostawić kogoś w Carrow, któryby czuwał nad Elleną, bronił ją w razie potrzeby przeciwko zamachom jego współzalotnika, o którym mniemał, że jest zdolnym do czegoś najgorszego. Pod prostaczą powierzchownością, Joe ukrywał wiele sprytu i przytomności umysłu; był odważny jak lew a wierny jak pies do pana przywiązany. Można by istotnie powiedzieć, że samo podejrzenie usnąć by powinno, gdyby czujny chłopak obiecał je pilnować.

— Joe, — rzekł Henryk, siadając na pniaku świeżo ściętego drzewa przy drodze, — jestem bardzo nieszczęśliwy!

— Czy istotnie? — zapytał parobczak, — ale pewno nie z powodu, że zwiedzisz obce kraje? Znam cię dobrze pod tym względem. Ile to razy, będąc dziećmi, kiedym pasał owce, siedzieliśmy sobie na szczycie wzgórka niedaleko ogrodu folwarcznego, i rozmawialiśmy o Indyach, o Ameryce i innych dalekich krajach! Teraz je masz widzieć; nie sądzę, aby cię to robiło nieszczęśliwym.

— Jestem zakochany! — odrzekł mu młodzieniec.

Joe wytrzeszczył oczy, choć już oddawna domyślał się, w jakim stanie znajdowało się serce jego młodego pana. To też nie tem wyznaniem był zdumiony; ale nie umiał pojąć, aby miłość robiła Henryka nieszczęśliwym. Joe był także zakochany, ale ta tkliwa namiętność nie pozbawiała go ani apetytu, ani gorliwości w pracy.

— Ja także jestem zakochany! — zawołał, — ale Zuzanna musi poczekać, aż powrócę, inaczej powiem jej, że ona nie dla mnie.

— Może nie masz współzalotnika? — dodał Henryk z westchnieniem.

— Współzalotnika! — zawołał Joe z pogardą, — o nie! Dick od młynarza chciał się do niej umizgać; ale odkąd mu głowę kijem rozbiłem i powaliłem na ziemię, gdyśmy się mocowali, już się jej zupełnie wyrzekł. Widzisz, jak to trzeba sobie poradzić!

Joe nie mógł tak łatwo pojąć wyjaśnienia swojego panicza, że metoda, tak doświadczona z Dickiem od młynarza, nie może ujść wszędzie i z każdym.

— Lżej byłoby mi na sercu, — dodał Henryk ze wzruszeniem, gdybym mógł tu zostawić jakiego przyjaciela, któryby czuwał nad moją ukochaną w czasie mojej nieobecności.

— Nie wątpię o tem, — odparł sucho Joe Beans z postanowieniem nie domyślania się, o co chodziło.

— Sądziłem, że mam takiego przyjaciela.

— Zapewne młodego pana w Opactwie, squire Waltera, — rzekł Joe, który uczuł zazdrość z powodu wzrastającej przyjaźni między Walterem Mowbray a Henrykiem.

— On będzie towarzyszyć mi w podróży.

Ta wiadomość potwierdziła parobka w jego podejrzeniach. Myślał sobie, że jego młody pan dla tego nie chce go wziąć z sobą, że się go wstydzi, a ten domysł zranił boleśnie jego przyjaźń i dumę zarazem.

— Zostanę się chętnie, master Harry, — rzekł Joe drżącemi usty; — nie chcę ci robić wstydu mą prostaczą powierzchownością w obec twych wytwornych przyjaciół, choć oni może nie okażą ci ani tyle wierności ani poświęcenia jak biedny Joe, wszelako... przyrzeczenie nie przestaje być przyrzeczeniem! Ale, nie chcę, abyś się rumienił za niedotrzymanie danego słowa. Zwracam ci je! Teraz już nie potrzebujesz się tłumaczyć przedemną; Joe zostanie na folwarku, jak pies, co stracił łaskę u swego pana i... i...

— Joe, — przerwał mu Henryk z widocznem natężeniem, aby się wydać spokojnym, — pójdziesz na folwark oznajmić memu stryjowi o twoim wyjeździe. Jutro rano udamy się w drogę, a nie chciałbym, aby poczciwy stary miał więcej kłopotu niż koniecznie wypada... powiedz mu, że się dziś wieczór z nimi widzieć będę.

— Dobrze, dobrze, nie omieszkam.

— A pamiętaj też i odemnie pożegnaj Zuzannę.

— Nie zapomnę o tem z pewnością.

— Możem nie słusznie wymagał po tobie takiej ofiary, — dodał Henryk podając mu rękę. — Jakiem prawem mogłem tego żądać?... Alem też za to srodze ukarany, kiedy mój pierwszy i wierny przyjaciel posądza mnie o pychę i niewdzięczność. No, zapomnij o tem wszystkiem. Niezadługo może się przekonasz, czy Henryk Ashton jest zdolnym zaniedbywać starego przyjaciela dla tego, że przypadek nowym go obdarzył.

— Czy ja doprawdy z tobą jadę, paniczu? — zapytał Joe głosem przytłumionym, jakby mu w gardle co zawadzało.

— Z pewnością, — odpowiedział nasz bohater usiłując uśmiechnąć się.

— Ach! Gdybym pojechał, — zawołał Joe, ocierając łzę swą szeroką, szorstką dłonią, — byłbym chyba... No, to tak samo, jakbym wymówił: Oh! master Harry! przebacz mi, proszę cię, przebacz! Nie myślałem, że u mnie tak niedobre i czarne serce być mogło! Zostanę, aby jak wierny pies czuwać nad miss Elleną, a gdyby kto śmiał stanąć między nią a tobą, albo jej co złego wyrządzić, zabiję go jak dzikiego kota, albo psa wściekłego! Komuż innemu, jak nie mnie mógłbyś powierzyć czuwanie nad jej bezpieczeństwem? A ja nie pojmowałem tego! Nie rozumiem, jakim sposobem tak gorzkie wyrazy z ust mych wyśliznąć się mogły; ale choć moja głowa taka uparta i niepojętna, zdaje mi się jednak, że serce moje nie tak złe, master Harry!

— Serce twe złote, mój poczciwy chłopcze, z czystego kruszcu jak złoto w kopalni, nim je człowiek skalał używając go na przekupienie bliźniego swego. Nie chciałbym zranić takiego serca, gdybym miał za to pozyskać względy monarchy!... Pójdź ze mną, muszę cię przedstawić Ellenie.

Joe chciał się od tego wymówić; był w odzieży roboczej; prosił swego młodego pana, aby mu pozwolił pobiedz na chwilę do domu, dla przyodziania świątecznych sukien i odświeżenia nieco całego ubioru; ale niecierpliwy kochanek ani słyszeć o tem nie chciał. Wziął go pod ra-

mię i zwrócił się z nim do Opactwa. W zwierzyńcu zeszli się z Walterem i Elleną.

Młoda panienka powitała poczciwego wieśniaka ze zwykłą sobie uprzejmością. Jej narzeczony uwiadomił ją o swej chęci pozostawienia Joego w Carrow, i o zaufaniu, jakie pokładał w odwadze i roztropności swego wiernego sługi. Wiedziała więc, że Joe był przyjacielem, na którego wierność pod każdym względem spuścić się mogła.

Duma i przyjaźń Joego zostały więc zaspokojone; nasz bochater nazywał go swoim najpierwszym i najwierniejszym przyjacielem, i to w przytomności młodego squire Mowbray! Zdawało mu się w tej chwili, że byłby gotów ponieść dlań większą ofiarę, niż zrzeczenie się towarzyszenia mu w podróży; czuł się aż nazbyt wynagrodzonym. Wracając do domu, sam się dziwił, jak mógł na chwilę oprzeć się jakiemu życzeniu swojego panicza i pocieszał się nadzieją, że w czasie jego nieobecności nastręczy się sposobność dowiedzenia mu swojej nieograniczonej przychylności, broniąc Ellenę przeciw wszelkim zamachom jego rywala, którego postanowił zabić jak psa w razie, gdyby się odważył zajść w drogę Henrykowi.

Pożegnanie! jak smutny to wyraz! Jak nam go wyrazić trudno! Ale choćbyśmy najbardziej opóźniać chcieli tę chwilę, wymówić je nareszcie potrzeba. W młodym wieku żegnamy przyjaciół wprawdzie ze łzami w oczach, ale z nadzieją w sercu; w latach zaś dojrzalszych, wyraz ten jest niby pieczęcią zamykającą przeszłość i teraźniejszość, która może przyszłości nie mieć.

Walter Mowbray poszedł naprzód z Joem Beans, by go odprowadzić aż do budki stróża zamkowego, zostawiając tym sposobem obojgu kochankom możliwość wspólnego pożegnania bez świadków; gdyż bywają takie chwile, kiedy nawet obecność przyjaciela jest zbyteczną. Henryk i Ellena usiłowali oboje okazać się stałymi, aby wzajemnie wspierać się swoją odwagą.

Zamieniono obietnice i przysięgi, które wierne serca dotrzymują przez długie lata próby i doświadczeń; młodzieniec wycisnął pocałunek, jako zakład miłości, na ustach zapłonionej dziewicy.

I rozstali się z sobą, młodzi, niewinni, szlachetni oboje, wsparci ufnością w siebie i w przyszłość.

Na szczęście, przepaść dzieląca ich od przyszłości nieznanej była zasłoniętą; inaczej bowiem, jak cień w dolinie śmierci, widok jej ciemny i straszny byłby im bez wątpienia wszelką odebrał odwagę i siłę odjął.

Po długiem jeszcze widzeniu się z baronetem, w czasie którego ten dał mu ostatnie przestrogi i rady, nasz bochater opuścił zamek Carrow. W chwili, gdy się zatrzymał, by jeszcze ostatniem spojrzeniem pożegnać kolumnadę i wieżyczki bluszczem oplecione, otwarło się zlekka okno, i róża na pół rozkwitła, na której listkach łezka jak kropla rosy drżała, padła u stóp Henryka. Domyślił się ręki, która ją zrzuciła. Schylił się młodzian, by podnieść kwiatek, i przytknąwszy go najpierw do ust, ukrył następnie w zanadrze.

Nazajutrz o świcie, nasz bochater w towarzystwie Waltera Mowbray, wyjechał do Londynu.

Przez kilka dni po ich odjeździe zdawało się, że chmura smutku i tęsknoty zawisła nad skromnym dachem dworku Home-Farm i wspaniałemi szczytami zamku Carrow-Abbey.

XXXV.

Tymczasem Khan sam jeden czuwał w przedpokoju Miran-Hafaza. Wyraz zwątpienia i trwoga malowały się w obliczu starca, ale nie z powodu stanu zdrowia młodego Indyanina, którego lekarze już dawno uznali wolnym zupełnie od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Teraz sędziwy mentor drżał na widok otchłani, w jaką niepokonana miłość jego młodego wychowanka popchnęła, a nie widział sposobu żadnego, by go ocalić. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności zerwana ufność zobopólna, jaka ich dawniej łączyła. Pułkownik Mowbray stał się odtąd jedynym powiernikiem i doradzcą Mirana, którego komnata była dla każdego zamkniętą.

Co się tyczy Willa Sidelera, Khan uważał go tylko za narzędzie, które mu łatwo przyjdzie zgruchotać w jednej chwili, skoroby mu się kiedy niebezpiecznym wydawał.

— Ocalę go, — mówił sam do siebie zajęty ustawicznie myślą o młodym Indyaninie, — ocalę dla miłości ojca jego! wbrew jego własnej chęci. Kiedyś będzie mi dziękował za to, że stanąłem między nim a zamierzoną zbrodnią!

Marzenia te przerwało wejście jednego ze sług sir Jaspera z oświadczeniem, że jakiś nieznajomy, w którym z opisu Khan poznał królikarza, życzy sobie widzieć się z Miran Hafazem.

— Otóż złoczyńca spełnił swoje dzieło i przychodzi dopominać się o nagrodę.

Po krótkim namyśle rozkazał strzelcowi, aby tego człowieka do jego pokoju zaprowadził. Potem przywoławszy pacholę hindostańskie aby go zastąpiło w przedpokoju, renegat wyszedł do łotra co nastawał na życie jego w czasie ostatniego ich spotkania. Ale tym razem był przygotowany na wszelki wypadek.

Izba Khana, do którego wprowadzono Willa Sideler, znajdowała się w końcu długiego korytarza przed oficynami, w lewem skrzydle zamku sir Jaspera.

— Ależ to miejsce osobliwsze! — rzekł urwisz oglądając się do koła komnaty, oświetlonej lampą stojącą na stole obok czaszki trupiej, kilka wiązek ziół lekarskich i różnych przyrządów chemicznych.

— Słusznie mówicie, — odparł służący, — a mieszkaniec tej komnaty jest jeszcze osobliwszy. Uważajcie, by się niebardzo blizko przysuwać do okna.

Dawszy to ostrzeżenie, służący wyszedł, zostawiając przybyłego i psa jego czekających przybycia Khana, na którego wszyscy domownicy w Bungalore-Hall spoglądali z jakiemś uszanowaniem i trwogą zarazem.

— Nie pozwolił mi zbliżać się do okna, — powtórzył królikarz zostawszy sam w izbie, a to dla czego... muszę się rozpatrzeć.

Wziąwszy lampę ze stolika, poszedł ostrożnie ku miejscu wzbronionemu i z niewymownem zadziwieniem ujrzał dwa ogromne węże splecione razem w klatce mającej kształt pagody. Czy rozdraźnione blaskiem światła, czy zbliżeniem psa wietrzącego obok prętów żelaznych, który nie rozumiał blizkiego niebezpieczeństwa, gady wyprostowały się nagle i syczeć poczęły. Pies i pan jego usunęli się spiesznie w drugi kąt pokoju, gdzie ich znów przestraszyło głuche warczenie.

Tehita czyli lampart gończy, którego Miran z Indyi przywiózł, leżał uwiązany na łancuchu jak pies. Zwyczajem jest na Wschodzie puszczać je wolno po domu, tak bywają oswojone. Ale w skutek długiego zamknięcia ten był już rozsrożony.

— Ależ to prawdziwa knieja! — mruknął były dozorca królikarni, z coraz wzrastającem zadziwieniem, biorąc na ręce swego legawca z obawy jakiego wypadku. — Kto lubi te wszystkie potwory dzikie, niechże sobie z nimi siedzi! ale ja tu nie myślę dłużej czekać.

To mówiąc zwrócił się ku drzwiom, które się otwarły w tej chwili i wszedł Khan. Twarz jego, niedawno wzruszona, była teraz spokojna i nieruchoma jak zazwyczaj.

Jakkolwiek zatwardziały w zbrodni, Will Sideler nie zdołał bez zmięszania spotkać wzroku tego człowieka, którego usiłował zabić niedawno.

Chociaż oddawna zbyt występny by się jeszcze mógł wstydzić, nie umiał jednak ukryć swego zakłopotania, które się w całej postawie jego zdradzało.

— Wy tutaj! — wyjąkał wreszcie cichym głosem, — ja chciałem widzieć się z waszym panem.

— A twojego widzisz przed sobą, — odrzekł renegat. — Nędzniku! podły zbójco! za jaką znowu zbrodnię przychodzisz żądać zapłaty!

— Jaką zbrodnię? — powtórzył urwisz nieśmiało.

— Jakiż inny węzeł mógłby istnieć pomiędzy tak nikczemną istotą, jak ty, a moim szlachetnym wychowankiem? Czyż nie jesteś narzędziem obrzydłym w oczach tych ludzi, którzy się tobą posługują? duszą potępioną, co zawsze gotowa sprzedać się za pieniądze?...

— Jestem ubogi.

— Ubóztwo jest nieszczęściem, ale nie występkiem.

— Ale świat karze je jakby zbrodnię.

— Prawda i to świat nadto bywa sprawiedliwym. Posłuchaj mnie: chcę oszczędzić przynajmniej jednej zbrodni twemu sumieniu, pozbawiając cię tej wymówki, że to czynisz z ubóztwa. Powiedz, jak wielkiej potrzeba ci kwoty, byś się wziął do uczciwego rzemiosła? Przyrzeknij mi, że już nie znajdę cię na mej drodze, że nie dasz się użyć za narzędzie Miranowi, a człowiek, któremuś chciał życie odebrać, wyliczy ci natychmiast tę sumę.

— Wy? — zapytał zdziwiony złoczyńca.

— Ja.

Will Sideler zastanawiał się przez chwilę; widocznie toczyła się w nim walka między prze-

zornością a zasadą przewrotności, może, iż gdyby zamiary młodego Nabboba indyjskiego nie popierały jego szalonej żądzy zemszczenia się na sir Williamie Mowbray, byłby usłuchał lepszego natchnienia.

— Nie mogę tego uczynić, — odpowiedział nareszcie ponuro. — Wziąłbym chętnie wasze złoto, gdyż bardzo potrzebuję, ale nie mogę dać przyrzeczenia jakiego żądacie.

— A to dla czego?

— Bo mi się zdaje, że wasz pan lepiej mi zapłaci niż wy. Tak to już bywa na świecie, że za złe drożej płacą niż za dobre; większa jest nagroda za zbrodnię; ja przynajmniej to nie raz uważałem...

— I nie obawiasz się niczego?

— Nie!... To prawda, że wy moglibyście mnie zaprowadzić pod szubienicę, ale musielibyście sami się zdradzić. Nasza bójka ostatniego wieczora w parku wyjawiła mi tajemnicę. To nie była nasza pierwsza walka...

— Jak to rozumiesz?

— Że dopóki żyć będzie sir William Mowbray, nie odważylibyście się przyznać, kim jesteście. Gdyby miał najmniejszą wskazówkę o waszem istnieniu, ścigały was po całej ziemi... Widzisz, że cię znam, i że się ciebie nie boję! Tajemnica za tajemnicę, ja cię także mam w ręku...

Przez kilka chwil Khan wachał się widocznie. Czuł, że nadaremnie zaprzeczałby słowom zbójcy, który na nieszczęście go poznał.

W tem lampart wydał głuchy ryk, niby huk grzmotu dalekiego; oba zadrżeli na to niespodziane przerwanie milczenia; zwierz poskoczył ku psu, który wysunął się z rąk swego pana. Królikarz przywiązany do swego legawca, który oddawna był jego towarzyszem w samotności, schylił się po niego i już przez dalszy ciąg rozmowy trzymał go ciągle na rękach.

— Zapominasz, że gdybym nawet miał powód ukrywania się, powód ten ustanie, skoroby sir William Mowbray żyć przestał, — rzekł renegat.

— Baronet może długo jeszcze pożyje, — odparł Will głaszcząc psa.

Pomimo całej bezczelności swojej, łotr spuścił oczy pod zimnem wejrzeniem Khana.

— Zresztą, — dodał, — jeden przeciw jednemu... nie boję się nikogo, a gdybym mniemał, że masz zamiar mnie zdradzić...

— Psie nędzny! — przerwał Khan, — podszedłeś mnie raz z nienacka, ale dobrze się zastanów, nim mnie drugi raz napadniesz, teraz mam się na baczności!

— Zdaje mi się, że i niedawno byłeś uzbrojony, — odparł Will z szyderczym uśmiechem,— przypominam sobie, że miałeś ogromny nóż w ręku, ale może nie miałeś odwagi użyć go...

— Nie potrzebuję noża ani pistoletu, — rzekł chłodno renegat. — Oto broń jedyna, jaka mi wystarczy.

To mówiąc, wyciągnął rękę i pokazał na palcu pierścień dziwnej roboty. Ozdobę jego tworzył karbunkuł znacznej wielkości, zamykający wydrążenie w którem znajdował się malutki kawałeczek gąbki nasycony płynem. Urządzenie całe było w ten sposób zrobione, że skoro kamień trącił człowieka lub zwierzę, jedna z ostrych szpileczek, tworzących oprawę, sprawiała ukłucie, a kropelka płynu, wyciskająca się z wnętrza otworu, wchodząc w zadraśnięcie, zadawała śmierć natychmiast.

— To zawołał Will z pogardliwem spojrzeniem, a cóżby mi ten pierścionek mógł zrobić? to rzecz ciekawa.

— Patrz!

Szybkiem poruszeniem ręki renegat uderzył w nos legawca, którego przybysz na ręku trzymał. Skutek był niezwłoczny, jakby za dotknięciem machiny elektrycznej. Psina zawył, podrzucił się i zdechł. Pan jego zdumiony tem zjawiskiem, długą chwilę nie mógł przemówić słowa.

— Jakto, nie żyje?... — wyjęknął nakoniec.

— A widzisz, już po nim...

— I tylko za jednem dotknięciem?

— Przekonałeś się naocznie... Wiesz teraz, jak jestem uzbrojony, bądź przekonany, że nie omieszkam użyć tej władzy, skoro mnie kto napadnie. Jak tego psa zabiłem, tak zabiłbym i ciebie, nędzniku! W takim razie pozbawiłbym oprawcę i szubienicę zdobyczy, która im z prawa przynależy. Jesteś więc ostrzeżony; pamiętaj, że ja nigdy dwa razy nie ostrzegam!...

— Tak jest, tak, jestem ostrzeżony! — szepnął Will z wyrazem przerażenia i nienawiści w spojrzeniu.

— Teraz pójdź ze mną do Mirana-Hafaza, — odrzekł Khan, — a kiedy dźwięk złota zabrzęczy ci nad uchem i do zbrodni nakłoni, przypomnij sobie, że oko Boga i moje spojrzenia razem na ciebie zwrócone!...

XXXVI.

Chociaż ciągle jeszcze osłabiony i cierpiący w skutek odniesionej rany, Miran-Hafaz nie leżał już w łóżku. Tego samego poranku ayah uwiadomiła go o wyjeździe do Włoch jego współzalotnika, a ta wiadomość jednocześnie radość mu sprawiała. Cieszył się, że Henryk Ashton już nie jest blizko Elleny, a żałował, że umknął z rąk jego, gdyż na łożu boleści wykonał straszną przysięgę, iż musi odebrać życie rywalowi.

Gdy mu Khan doniósł o przybyciu królikarza, Miran, obok którego siedziała ayah, zawołał z niecierpliwością:

— Natychmiast niech tu wejdzie! — W chwilę potem Will stanął przed nim.

Khan oddalił się niezwłocznie; nie chciał drugi raz słyszeć rozkazu wyjścia do przedpokoju, pod obelżywym pozorem uprzedzenia, by mu nie przerywano.

— A cóż, masz testament? — zapytał Indyanin popędliwie.

— Miałem go, — odparł hultaj, — trzymałem już pakiecik w ręku, kiedy...

Miran w swej głębokiej wzgardzie dla brudnej chciwości łotra, którego nie wzdrygał się używać za narzędzie, wyobrażał sobie, że oszust ma zamiar zręczną baśnią wyłudzić więcej złota; dla tego przerwał mu mówiąc:

— Ba! nie jestem takim sknerą, żebym się miał z tobą targować, mów człowiecze, jaka twoja cena i dawaj papiery!

Will Sideler uczuł się obrażonym. Pogarda nie tajona młodego bogacza zraniła nawet tego nikczemnika, dla którego złoto bożyszczem było, a cnota i uczciwość uważane za towar, mający wartość wtedy, gdy się je przedać udało.

— Nie mam papierów! — odrzekł zachmurzony.

— Kłamco! — krzyknął Indyanin, zawiedziony w swem oczekiwaniu.

— On nie kłamie, — przemówiła ayah, przypatrując się bacznie przybyłemu. — Zapominasz przysłowie mędrca indyjskiego: że łyżka pełna miodu więcej much zwabi, niż cała beczka octu. Jakkolwiek ten paria jest podłym, pragnienie złota nie jest jedyną pobudką, dla której ci służy... Możesz mu ufać!

Ponieważ Zara mówiła w języku hindustańskim, Will Sideler nie mógł odgadnąć, czy to, co mówi, odnosiło się do niego lub nie. Ale z natury podejrzliwy, przeczuwał, że to o nim mowa.

— Ta niewiasta może pleść, co jej się podoba, — odezwał się, — co do mnie, zapewniam pana, żem prawdę powiedział. Miałem pakiet, ale mi go odebrano.

— Któż ci go wziął?

— Otóż to radbym wiedzieć, — odparł zbrodniarz z wyrazem dzikości.

— Czy użyto gwałtu do tego?

— Nie, ale przebiegłości.

Miran zdawał się zupełnie z tropu zbity. Po kilku minutach milczenia, dał znak Zarze, aby go samego z Willem zostawiła.

Zaledwo ayah wyszła z komnaty, młody Indyanin usiadł na krześle poręczowem. Stolik z lampą stał między nim a Willem, na którego cała jasność płomienia padała. Przez kilka minut Miran wpatrywał się w łotra; wzrok jego zdawał się przenikać aż do mózgu nędznika, by wybadać jego myśl najskrytszą. Z początku Will zdawał się niespokojny, jak ptak, zaczynający ulegać olśnieniu pod wpływem wzroku grzechotnika; ale zwolna ruchliwe jego źrenice stanęły nieruchomie; nie miał siły oderwać ich od oczu Indyanina.

— Umiesz być wiernym? — spytał go wreszcie młodzieniec.

— Tym, którzy mi zaufają! — odrzekł Will, oddychając z ciężkością.

— A lubisz złoto?

Hultaj uśmiechnął się zamiast odpowiedzi.

— Sądzę, że niezbyt miłujesz tego sir Williama Mowbray?

— Ja go nienawidzę! — zawołał Will z wybuchem gwałtownej namiętności, — ten waryat nie przestawał prześladować mnie całe życie! Najprzód pozbawił mnie posady łowczego, a teraz znów odebrał mi nadzór królikarni i całkiem ze służby wypędził; ale muszę się zemścić nim umrę. To jedyne marzenie, ta nadzieja od lat wielu jest moim żywiołem! Ciemiężyciel i uciemiężony stają się równi sobie, skoro pierwszy nie może już nowej wywierać srogości, a drugi nie ma już owej niesprawiedliwości do zniesienia.

— Więc śmierć twego dawnego pana nie bardzoby cię zmartwiła?...

— Zupełnie tak, jak zgon węża, któryby mnie ukąsił. Te same powody rodzą we mnie nienawiść do jednego, jak do drugiego.

Tu nastąpiła długa rozmowa zcicha prowadzona, w czasie której przysunęli się z krzesłami jeden do drugiego. Wyrazy powoli z ust ich wychodziły, wargi wzdrygały się je wymówić. Miran był podobny do strąconego anioła, tchnącego wzgardą i obrzydzeniem ku tej istocie, którą kusi do zbrodni. Will Sideler zaś był obrazem chciwości, czołgającej się u stóp mamony, i sprzedającej swą duszę za skarby złota. Suma, jaką młodzieniec przyrzekał za straszną usługę, wydała się bajeczną obłąkanemu umysłowi złoczyńcy; a jednak, rzecz niepojęta, pomimo tego zamiłowania w żółtym kruszcu, złoto nie było dostateczne, aby go skłonić do chęci Indyanina.

— Twoja dusza bardzo drogocenna, mości Sideler! — rzekł Indyanin pochylając się w krześle i wpatrując się w nędznika wzrokiem, w którym ciekawość i wstręt razem się malowały. — Kwota, którą wymieniłem dostateczną byłaby do zakupienia sumienia kapłana i honoru księcia udzielnego. No, mów, ile więc żądasz?

— To dosyć złota, więcej niż dosyć... ale ja żądam czego innego...

— Cóż takiego? wymów nareszcie!

— Chcę mej dawnej posady łowczego w obszarach Carrowa; kiedym utracił służbę, moi starzy przyjaciele usunęli się odemnie, a wrogi ze mnie szydzili. Otóż żądam, by mi wrócono to miejsce. Przyrzeczesz mi pan to, a ugoda nasza zawarta. Jestem przekonany, że pułkownik Mowbray nie odmówi panu tego.

Spojrzenie, jakie przy tych słowach Will rzucił na Indyanina, bardziej jeszcze niż nacisk, z jakiem je wymówił, dowiódł Miranowi, że Will był świadomy porozumienia, istniejącego pomiędzy nim a bratem sir Williama, którego zgonu pragnął.

nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB

(Ciąg dalszy.)

O skutkach ziela Carbuibenedicti.

Ziele to ma wielkie i na doświadczeniach oparte skutki i to w różnych chorobach, jako to: służy na ból głowy, warząc je przydawszy ziela Betoniki i skórek cytrynowych przecedziwszy i osłodziwszy to, pić co dzień z rana i na noc; służy nawet i na zawrót głowy.

Służy na żołądek słaby, przydawszy skórek pomarańczowych.

Służy na wilgotność głowy i fluksye różne z niej pochodzące.

Służy na kolki z wiatrów pochodzące, i na Plaurę.

Służy na rozrzedzenie krwi zsiadłej wewnątrz z uderzenia lub upadku, ugotowawszy ziele to w mleku i przydawszy oliwy, trzeba pić to w sposób wyżej wzmiankowany.

Służy na wrzody bolączki; dymnice rozpędza i goi, przykładając plaster z tego ziela zrobiony, to jest: utarłszy na proch, przydać mąki żytniej, wosku, oliwy i miodu i przykładać na nię.

Służy na kłucie w piersiach i w bokach, nawet i na wychodzenie kiszki odchodowej warząc i pijąc.

Służy na kaduk, utarłszy na proszek, przydawszy nieco waleryanu, wsypać w potrawę jedząc. A dla pewniejszego skutku pozbycia się tej niemocy, trzeba koniecznie zaraz po paroxyzmie wziąść na wymioty, i potem dopiero tego proszku zażywać.

Służy na głuchotę, pamięć dobrą sprawuje, wzrok jasnym czyni, często używając, a krew czyści od złych humorów.

Służy na cuchnienie ust, kamień i piasek, przydawszy skórek pomarańczowych.

Służy na gorączki, maligny, i wszelkie choćby zastarzałe febry, często popijając.

Służy na affekcye wątroby, śledziony, nerek, apetyt do jedzenia przywraca i broni od wielu chorób.

Aby to ziele lepszy skutek sprawiało, ma się zbierać wtenczas, kiedy młode i soku pełne, a nie kolące; suszone być ma w cieniu, tedy czy gotowane czy w proszku zażyte, ten sam miewa skutek,